

TOM I

JENNIFER DELANEY

OPowieści Potwornego Serca



JENNIFER DELANEY

OPowieści Potwornego Serca

OPowieści Potwornego Serca #1

Tłumaczenie
Kinga Rzepka

Tytuł oryginału: *Tales of a Monstrous Heart*

Copyright © Jennifer Delaney 2024

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Nowe Strony, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redaktorka prowadząca: Sandra Pętecka

Redakcja: Anna Suchańska

Korekta: Katarzyna Chybińska, Kamila Grotowska, Martyna Janc

Skład i łamanie: Paulina Romanek

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Druk i oprawa: Abedik SA

ISBN 978-83-8418-238-3 · Wydawnictwo Nowe Strony · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
@ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
f Wydawnictwo Nowe Strony
📷 [wydawnictwonowestrony](https://www.wydawnictwonowestrony.pl)
🎵 [nowe_strony](https://www.nowe_strony.pl)

*Dziewczynom, które zatracają się w marzeniach, snują opowieści
w swoich głowach i przeżywają romanse we własnych sercach.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Śmiertelnicy przybyli z Mórz Południa, pragnąc osiąść własną moc. Skuszeni kłamstwami i obietnicami władzy, zawarli pakt z mrokiem drzemiącym pod ziemią. Tak nienasycona chciwość uwolniła tę ciemność, która to rozlała się po powierzchni, budząc do życia klątwy w potwornych formach. Mimo to ci śmiertelnicy łaknęli jeszcze więcej, więc zaprzędali swoje dusze za władzę. Świat stanął w płomieniach, a przekłeta ziemia pożerała ich, stając się tak żarłoczną, jak oni sami pragnęli być.

Kompendium Zaginionych, 1536 r.

Była to pradawna opowieść o konsekwencjach chciwości i początku końca świata. Historia stworzona po to, by straszyć dzieci i trzymać je z dala od czarnej magii. Choć byłam zbyt dojrzała, by dać się tak łatwo uwieść, z zaciekawieniem przekartkowałam kolejną, zwęgloną stronę opowieści. Mój wzrok padł na ilustracje mrocznych demonów, zrodzonych z dymu i klątw, o których

była mowa w tekście. Gdy wznosiły się z ziemi, skręcały się w kształty przypominające węże.

Verr. Stworzenia z głębin. Potwory, które dziś istniały już tylko na kartach opowieści, ale każda historia zawierała w sobie ziarnko prawdy, nawet jeśli ich fragmenty zatarł czas, porywisty wiatr poniósł je znad ogniska lub zbyt łatwo wymykały się nie-domagającej pamięci.

W tych pradawnych słowach kryła się prawda. Kolejny król śmiertelników pragnął osiąść własną magię, zaprzedał więc swoją duszę, aby podbić i pożreć świat. Jego zakazane zaklęcia i okultystyczne czczenie tych, co obudziły Verr, ta ciemność, po której stąpamy, prawie zniszczyła nas wszystkich.

Historia powtarzana zbyt wiele razy przez zbyt wielu królów śmiertelników, przeklętych brzemieniem chciwości i głodem magii.

Mimo że znałam ją doskonale, moja dłoń nadal ślizgała się po blednym atramencie, cienkim papierze, szorstkim pod palcami. Słowa, jaśniejące w świetle unoszącej się kuli białego światła, stworzonej przez moje zaklęcie iluminacji, malowały cienie na zwęglonych, otaczających mnie ścianach ruin.

Piąta Wielka Biblioteka. Opuszczona dzielnica leżąca głęboko pod Instytutem Magii składająca się ze starych korytarzy utrzymywanych przez korzenie zniszczonych sklepień, rozpadających się posągów i zgniłych ksiąg zaklęć.

Światło zaklęcia drżało, rzucając długie cienie na kamień. Groziło, że zgaśnie w każdej chwili, jeśli będę na nim zbyt długo polegać. Zdarzało mi się zapominać o moich ograniczeniach.

Odsunęłam rękę od tekstu, a zaklęcie, które stworzyłam, aby ożywić zniszczone strony, rozproszyło się, przywracając książkę do zwęglonych, poplamionych dymem szczątków.

Znowu było to tylko wspomnienie, relikw przesłości. Podobnie jak olbrzymi, zniszczony labirynt otaczających mnie regałów, na których znajdowały się fragmentaryczne pozostałości zwojów z Trzeciego Królestwa Elysioru sprzed wieków, kiedy

te same sale tętniły magią i nauką. Miejsce poświęcone badaniu fey i wszystkich mocy, jakie posiadali, aby pojąć, co potrafi magia, zanim śmiertelnicy w końcu zrozumieli, że nigdy nie będą w stanie władać nią tak jak stworzenia magiczne. Chyba że zbeczczeliby własną krew i mieszaliby ją z krwią istot, uznawanych za tak dalece gorsze od siebie. Postrzegali fey jako zdziaczałe i uwstecznione istoty ze względu na ich dziwne, bezbożne zwyczaje.

Wtedy wiedza o magii nie była skarbem, lecz kajdanami, które podporządkowały nas władzy króla śmiertelników. Chciano nas kontrolować. Chciano nas zawłaszczyć.

Tak więc śmiertelnicy wieki temu zaczęli gromadzić magiczne teksty, niczym stare smoki zbierające złoto, aby trzymać je z dala od fey, chcących poznać swoją historię i połączyć się z przodkami. Ci sami królowie doprowadzali do upadku mniejsze cywilizacje fey, zbeczczili święte ziemie i zbudowali swoje nowe królestwa na ich ruinach. Potem, gdy upadały, odbudowywali je. Wciskali ruiny, pozostałości ich błędów, głębiej w ziemię z każdym nowym królem, aż do następnej wojny, pochłaniającej również ich.

Niekończący się cykl. Kłątwa, która miała ciążyć na terenach Elysioru.

Odwróciłam się do starych, porośniętych pleśnią gobelinów, wiszących na ceglanej ścianie. Przedstawiały dawne czasy, gdy fey zamieszkiwały dzikie ostępy. Walkę, jaką stoczyli, próbując zachować swoją magię i powstrzymać króla tyrana, przywołującego mroczną moc z podziemi swoim szaleństwem, pozwalającego Verr i ich starym, przeklętym bogom zbeczcząć tę ziemię.

Tak zaczęła się kłątwa, którą sprowadzili na siebie śmiertelnicy, zaprzędając swoje dusze.

Może na to zasłużyli. Może wszyscy na to zasłużyliśmy.

Jakby w odpowiedzi na tę mroczną myśl, kula mojej magii zgąsła, pozostawiając mnie w całkowitej ciemności. Słabe smugi

księżycowego światła przebijały się przez mrok z małych szczelin wysoko nad moją głową, gdzie ruiny zdołały przedostać się przez glebę.

Pozostawanie ukrytym w ciemności miało swoje zalety, ale nawet spoczywające tu duchy nie mogły dodać mi otuchy w tym dziwnym grobie tak głęboko pod ziemią.

Wszystko, co czekało na mnie powyżej, to odrzucone wnioski. Albo od magów, z którymi próbowałam nawiązać współpracę, albo oddalone aplikacje na stanowiska uzdrowiciela lub nauczyciela na północy. Za bardzo bali się zirytować Radę swoją zgodą na przyjęcie takiej fey jak ja.

Partnerstwo... ostatni wymóg ukończenia Instytutu. Konieczne, aby uzyskać swobodę władania własną magią pod chronionym tytułem Maga. Coś, czego nie dożył żaden fey. Coś, w czym aktualnie zawodzę. Straszliwie.

Znajomy ból głowy drapał mnie w skronie. Jak w tak łatwy sposób straciłam kontrolę nad własną przyszłością?

Nigdy nie miałaś nad nią kontroli. Głos zwątpienia syknął w głębi mojego umysłu. Głos, któremu ostatnio dałam zbyt wiele wolności.

Głuchy stukot rozniósł się po pomieszczeniu, docierając z jednego ze zniszczonych biur w zacienionym, wilgotnym kącie. Srebrzysty błysk pochodzący z trzepotu małych, mieniących się skrzydełek przykuł moją uwagę.

Pyłkowy chochlik siedział niepewnie na stercie wilgotnych książek, które nieumyślnie przesunęłam w jego stronę. Jego małe, okrągłe ciało zdawało się zbyt ciężkie dla cienkich, wrzecionowatych nóżek. Na moment przestał machać skrzydłami, jakby zauważył moją obecność. Miał duże, pełne zaciekawienia oczy, jak kawałki węgla, dominujące nad jego małą, futrzastą głową, maleńkie ostre zęby odsłonięte w dziwnym, lekko szalonym uśmiechu.

– Nie powinno cię tu być – ostrzegłam, ciesząc się, że nikt nie znajdował się w pobliżu, by być świadkiem wątpliwej interakcji.

Pyłkowe chochliki stanowiły rzadkość. Większość wytworów tej pradawnej magii zginęła podczas wojen, ale właśnie taka była moc zarazy: tworzyła się z niczego, z zapomnianych zaklęć. Wystarczyło dotknąć takiego stworzenia, by znów stało się martwe.

Ciężkie, zirytowane westchnienie wyślizgnęło mi się z ust.

– Nie potrzebuję kłopotów, jakie przyniesie rozmowa z tobą.

Chochlik nie wydawał się w nastroju do negocjacji, gdy zerwał się, mknąc po biurku. Ostro zakończone nogi głośno stuknęły o łuszczącą się skórę blatu biurka. Ostrzeżenie, jakiego nie mógł wyrazić słowami.

– Przestań – syknęłam, martwiąc się, że obudzi jednego ze strażników.

Małutkie ciało bestii zadrżało z irytacji, gdy ponownie obnażyła ostre zęby. Ciemne oczy szybko spojrzały w dół na postrzępione, pomazane kartki, zostawione przeze mnie na biurku – moje notatki o transfiguracji i uzdrawianiu, nad którymi spędziłam cały dzień. Potrzebowałam ich do mojej ostatniej aplikacji.

Moja ostatnia nadzieja.

Lodowaty dreszcz strachu przeszedł mi po plecach, gdy chochlik spojrzał na mnie ponownie, chełpiąc się czymś z lekko przekrzywioną głową.

– *Nie*. – Błagalny szept opuścił moje usta zbyt późno.

Mały potwór chwycił moje zapiski w swoje brudne, ostre zęby i zniknął.

– Zatrzymaj się! – krzyknęłam, obiegając biurko i potykając się tuż za nim. Wpadłam do ponurych pozostałości biblioteki.

Potrzebowałam tych notatek. *Alma* potrzebowała tych notatek.

Dźwięk skrzydeł chochlika prowadził mnie przez labirynt zakrętów i chybliwych półek, z każdym krokiem wciągając mnie w głąb niebezpiecznych ruin. Moje buty ślizgały się po popiołach, pozostałościach po spaleniu książek. Potknęłam się o skręcone korzenie wyrastające z drewnianej podłogi lub wystające niebezpiecznie z kruszącej się cegły.

Wdychając kurz, skręciłam w kolejny ciemny zakątek i usłyszałam szum ruchu. Zatrzymałam się gwałtownie za opuszczoną biblioteczką.

Nikogo nie powinno tu być, zwłaszcza mnie.

Wtedy rozległo się syczące przekleństwo i zmusiło mnie do schowania się w cieniu. Odsunęłam porzucone zwoje na półce, zaplątałam palce w gęstej pajęczynie, a moim oczom ukazało się to, co pozostało z wejścia do zakazanej sekcji. W świetle bladozielonej lampy, która nigdy nie gasła, przez zardzewiałą, ażurową bramę dostrzegłam samotną, zakapturzoną postać.

Rozległo się nerwowe klikanie, kiedy chochlik wpadł na półkę obok mnie i upuścił moje notatki. Spojrzałam na niego oskarżycielsko, rozważając pozbycie się uskrzydłonego szkodnika, ale kolejne przekleństwo skierowało moją uwagę z powrotem na zakazaną sekcję. Postać weszła w strumień światła, a kaptur jej płaszcza opadł na zgarbione ramiona, odsłaniając tym samym postać Finneausa Ainswortha. Miał jasne blond włosy, nietypowo potargane, a pod płaszczem wciąż był odziany w szlafrok.

Mistrz Hale powiedział, że Finneaus nie radzi sobie na jego zajęciach i nawet ciężka sakiewka jego ojca nie uratuje go przed zrobieniem z siebie idioty.

Patrzyłam, jak pochylił się nad tym, co zostało do przeczytania na stole, a lampion, który miał ze sobą, stał niepewnie na krawędzi blatu. Zgięty wpół, próbował siłą otworzyć starą, metalową księgę, jakby chciał rozerwać ją na strzępy, pomimo zardzewiałego zamka. Znany mi herb – jeleni rodu pradawnych – połyskiwał w tym ohydny, zielonym świetle.

Powietrze gęstniało w moich płucach, a kłujący ból głowy był prawie nie do zniesienia. W odpowiedzi na to moja magia rozgorzała, rozpalając mi krew.

Znałam tę książkę.

Kompendium Komandora Ainswortha – zapomniany tekst. Rada powinna była go zniszczyć już dawno temu. Książka zamknięta

w żelaznej klatce, przeklętym metalu, którego żaden fey nie mógł dotknąć.

Dzieło zaginęło, kiedy stary Instytut upadł wieki temu, pochowany pod nowym Instytutem, gdzie teraz zasiadała Rada Magów, ukrywając się, udając, że się zreformowali, że odwrócili się od rządów swojego mrocznego króla, aby śmiertelnicy i fey tego świata żyli w pokoju. Było to jednak kompendium, które powinno zostać zniszczone wieki temu.

Finneaus nadal zmagał się z książką swojego prapradziadka, nie zauważając srebrnego napisu na grzbiecie, ostrzeżenia. Mówiło o tym, że stworzenie służące właścicielowi kompendium zostało uwięzione w środku – teraz miałoby ponad dwieście lat, prawdopodobnie było bliskie śmierci głodowej i tak wściekle, że żadne proste zaklęcie nie byłoby w stanie powstrzymać tego nieokielzanego głodu.

Powinnam była się wycofać, udać się do sal Instytutu, wrócić do swojego pokoju i przebrać, nim Alma by mnie złapała. Powinnam była pozwolić temu głupcowi otworzyć księgę, pozwolić stworzeniu ukraść jego duszę, a następnie udawać, że grzecznie oplakuję go na pogrzebie. *Powinnam była...*

– Jasny szlag! – syknął Finneaus. Kompendium uderzało o stół, gdy przycisnął dłoń do piersi. Krew spływała mu po palcach skaleczonych ostrym grzbietem i kapłała niebezpiecznie blisko przeklętej książki.

Księgi zapieczętowane krwią wymagają ofiary. To ostrzeżenie odbiło się echem w moim umyśle, kiedy strach ogarnął moje zmysły. Czarna magia miała swój sposób na wzywanie nas, nawet gdy nie chcieliśmy jej słyszeć.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęłam, wyłaniając się z zacienionej kryjówki.

Finneaus wydał z siebie okrzyk niepokoju, odwracając się na pięcie i prawie przewracając lampion. Jego niepokój szybko ustąpił miejsca szyderczemu uśmieszkowi, pełnego czystego obrzydzenia.

– Nie twój interes, *trollu!* – Wepchnął zranioną rękę do kieszeni ciemnej szaty.

Zignorowałam tę obelgę, wulgarne podsumowanie mojego rodu. Jako fey byłam przyzwyczajona do uprzedzeń. Bycie Kysillianką tylko pogarszało sytuację, wszystko – od moich spiczastych uszu, złocistej skóry, lawendowych oczu i imponującego wzrostu – spotykało się z pogardą ze strony śmiertelników.

– Nie powinieneś dotykać tej książki – ostrzegłam tak cicho, jak tylko mogłam, mając nadzieję, że głos rozsądku dotrze do tego rozpieszczonego półgłówka.

– Śmiesz mi mówić, co mam robić? – Jego wargi wykrzywiły się w złości. – Jeśli szukasz powodu do wydalenia, Woodrow, mogę ci go podać na tacy.

– Myślę, że jesteś w większych opałach niż ja, Finneausie. – W moim głosie pobrzmiwał spokój, którego tak bardzo mi brakowało. Bez względu na to, jak mocno mnie nienawidził, gdyby zaczął parać się czarną magią zawartą w tym tekście, nie byłoby już powrotu.

– Zobaczmy – rzucił cierpko, ale dostrzegłam lekkie drżenie jego palców i odległą panikę w oczach. Dał już się tej księdze omamić.

Nie zamierzał mnie słuchać. Nie mógł. Już nie. Był stracony. Ciemność wciągała najszybciej tych o słabych umysłach i desperowanych sercach. Zakrwawioną ręką powrócił do książki i – przez panikę w oczach – nie kontrolował palców, gdy po nią sięgały.

– Nie! – Rzuciłam szybkie zaklęcie, mające zrzucić książkę ze stołu, lecz magia jedynie zawrzała, jak woda na rozgrzanej płycie. Pojawiła się tylko lawendowa aura bezużytecznie rzucanego czaru.

Na szczęście to wystarczająco go zaskoczyło, żeby odsunął się od księgi.

– Prawie we mnie trafiłaś! – wycedził.

– Ta książka jest przeklęta. – Przewróciłam oczami, ostrzegając go, choć z trudem trzymałam gniew na uwierzy.

– To tekst mojej rodziny – zadrwił, przechylając brodę z nutą nieposłuszeństwa, pomimo jaskraworóżowego rumieńca na policzkach.

– Ród tak samo idiotyczny jak ty, który przeklina własne książki – odpowiedziałam ostro.

Oburzony rzucił się na mnie, mimo że byłam wyższa od niego co najmniej o głowę.

– Ty bezczelny *trollu*.

– Posłuchaj, ty mały... – zaczęłam, opierając się chęci uduszenia go, tylko po to, by słowa ugrzęzły mi w gardle. Zza stołu dobiegło dziwne grzechotanie, które zatrzymało Finneausa w połowie kroku. Regały zaczęły drżeć wokół nas, nierówna podłoga przesunęła się pod moimi stopami, a zardzewiałe bramy wydały z siebie znużony jęk.

Za późno.

W komnacie rozległo się brzęczenie tysięcy małych skrzydełek, gdy przez pomieszczenie przemknął niosący pył wiatr. Finneaus zwinął się z wrzaskiem w kłębek.

Wiatr wirował wokół nas, a małe, pyłkowe chochliki uciekały, szukając schronienia w głębokich szczelinach kamiennych łuków, zamieniając się w obłoki pyłu. Przestawały istnieć. Nie było chwili, by je opłakiwać. Nie, kiedy gniew nie pozwalał mi oderwać wzroku od stołu.

Ta przeklęta książka zaczęła ożywać – podskakiwała i trzęsła się, próbując na ślepo się otworzyć. Zrzuciła lampion z biurka, przez co szkło roztrzaskało się, a płomienie rozpiechły po podłodze, pożerając porzucone papiery, które ją zaśmiecały. Oświeślały grozę tego, co miało się wydarzyć, w tym mdłym, zielonym odcieniu.

– Co zrobiło twoje bezbożne zaklęcie!? – pisał Finneaus, odalając się od rozpętanego się chaosu.

– To twoja wina! – syknęłam. Księga miotła się rozpaczliwie, zbliżając coraz bardziej do małej kałuży krwi Finneausa. Wtedy zrozumiałam.

Zanim zdążyłam zareagować, książka w końcu wylądowała na kroplach, których szukała, zatrzymując swój dziki taniec, gdy z jej stron zaczął się sączyć czarny dym. Smugi ciemności spletały się ze sobą, tworząc szponiastą dłoń, wysuwającą się spod pożółkłych stron. Pełzła w górę, w kierunku osłony, i beztróskim ruchem wyłamała zamek.

Okropny, przenikliwy pisk przedarł się przez pokój, odbijając się od łukowatego sufitu, kiedy księga się otworzyła. Z jej kart wzbila się potężna chmura dymu – uniosła cały kurz i popiół, zaczęła wirować po pokoju, rozluźniając mój warkocz i piekąc w oczy.

Poczułam to na swojej skórze: szczypanie i chłód. Płuca wypełnił siarkowy smród czarnej magii.

Książka wydała z siebie kolejny mrozący krew w żyłach pisk, od czego zaczęło mi dzwonić w uszach. W odpowiedzi magia rozżarzyła się w moich żyłach, chcąc się uwolnić, by walczyć z tym, co próbowało wyrwać się z tych stron. Czubki moich palców błyszczały własnym, delikatnym, lawendowym blaskiem.

Zwinęłam ręce w pięści, żeby móc się temu oprzeć. Pot spływał mi po skroniach. Nie mogłam znowu stracić kontroli, nie tutaj i nie przy synu Dziekana.

Rozległ się trzask pradawnych kości, gdy mroczna dłoń wyłoniła się z książki i wbiła pazury w blat stołu. Z kart wylała się ciemna, galaretowata substancja, kapiąca na drewnianą podłogę, podczas gdy stworzenie wyłaniało się coraz bardziej, wychodząc z tekstu.

– Cholerni święci – szepnął Finneaus, a jego głos łamał się ze strachu, jakby te bezużyteczne słowa mogły w czymś pomóc. Zapach moczu tchórza szybko podążył za nim, co skutecznie przykuło uwagę potwora.

Był pozbawiony oczu, miał rzędy ostrych, żółtych i nierównych zębów, które stuknęły o siebie, kiedy przyczał się na biurku. Długie, pająkowate kończyny wystawały z ciemnego, humanoidalnego ciała, tylko nieznacznie większego od wąskiej sylwetki Finneausa. Jego rozcięte nozdrza rozszerzały się, gdy węszył, a duże, ostro zakończone uszy drgały z każdym dźwiękiem. Jedno uderzenie jego ciemnych, wijących się skrzydeł wywołało silny podmuch wiatru, który przewrócił zniszczone regały i rozrzucił papiery w powietrzu. Długi, skórzany ogon ruszał się za potworem jak zabójczy, kolczasty bicz.

Finneaus próbował uciekać, ale potknął się o własne stopy i wyładował na podłodze. Stworzenie gwałtownie odwróciło łeb w kierunku dźwięku, po czym rzuciło się na Ainswortha w ułamku przerażonego bicia serca.

– Woodrow! – zawołał, kiedy stworzenie rozrywało podłogę. Moja magia błysnęła zjadliwie w dłoniach bez żadnego zaklęcia czy inkantacji opuszczających usta. To była magia krwi, zakazana i bezlitosna.

Ogień Kysillian, jasnoniebieskie i purpurowe płomienie wystrzeliły z moich rąk, tworząc blokadę między Finneausem a bestią. Wiły się bez wysiłku i splatały z płomieniami lampionu, zamieniając je w głęboki błękit i nakazując im wykonać moje rozkazy. Bestia, pozbawiona możliwości zaspokojenia głodu, cofnęła się przed żarem, wydała z siebie przeraźliwy pisk i drapała podłogę wściekłymi pazurami. Robiły one głębokie wyżłobienia w wilgotnym drewnie.

Potwór ryknął i mocno załomotał skrzydłami za sobą, wachlując wygłodniałe płomienie, gdy zaczęły wspinać się po jedynym gobelinie, wciąż przytwierdzonym do wilgotnego kamienia. Pozostałe, zjedzone przez korniki regały, runęły pod naporem demonicznego wiatru. Ciężkie tomy zaczęły uderzać o uszkodzoną podłogę obok Finneausa, zasypując go chmurą pyłu i popiołu. Rozległ się przeraźliwy trzask, gdy niestabilne podłoże rozpadło

się, tworząc głęboką dziurę. Finneaus piszczął i drapał pochyłone deski, ale wraz z krzykiem wsunął się w zakurzoną otchłań.

– Finneaus! – Chciałam mu pomóc, lecz stwór wydostał się z chmury wiekowej sadzy i rzucił na mnie.

Posłałam na oślep strumień magii, ale jak to bywa z wszystkimi mrocznymi stworzeniami, im dłużej istniały, tym więcej się uczyły, a mroczny potwór uczył się zbyt szybko o swojej ofierze.

O mnie.

Udało mi się trafić go w ramię, a jego kość pękała, kiedy przełatywał obok mojego spanikowanego, niechłujnego zaklęcia. Rozbił się o stary kominek, a wokół niego rozsypały się cegły. Pomieszczenie zadrżało od uderzenia, prawie rzucając mnie na kolana.

– Finneaus! – Wykaszałam pył z płuc, pochylona nad krawędzią otworu, by znaleźć jego leżącą postać poniżej. Jęczał, przykryty deskami i starym tynkiem. Wylądował na kanapie w pomieszczeniu, które wyglądało na pokój wspólny, jedno piętro poniżej biblioteki.

Najwyraźniej bigoteryjni głupcy mieli cholerne szczęście na tym świecie.

– Drań – syknęłam pod nosem, pozwalając sobie na chwilę ulgi, że nie zostałam przypadkiem zaangażowana w demoniczne morderstwo syna członka Rady.

Reszta kominka rozpadła się z niepokojącym hukiem. Odwróciłam się w tym samym momencie, gdy łuskowaty ogon stworzenia zamachnął się blisko mojej głowy. Uchyliłam się i usłyszałam huk, ponieważ przebił się przez ścianę za mną i obsypał mnie ostrymi odłamkami cegły.

Pognałam poza jego zasięg, obracając dzikie płomienie mojej magii między dłońmi, gdy istota pełzła w moją stronę, brzuchem nisko nad podłogą.

Przyzywałam więcej ognia, rozświetlając pomieszczenie ostrym, lawendowym blaskiem, w wyniku czego drugi ogień ryknął

w jedności. Ostre rysy demona stały się jeszcze bardziej prze-rażające w moim magicznym świetle, zanim wypuściłam kulę ognia, celując w skrzycone skrzydło stworzenia i wypalając dziurę w jego ciemnym ciele. Demon wrzasnął, jego zmiażdżona część ciała zwisała, kiedy gwałtownie się obrócił, aby się bronić.

Przez siłę zaklęcia straciłam oddech, byłam zbyt rozproszona, by zauważyć uderzenie długiego, węzowego ogona. Złapał mnie za bok, a następnie rzucił mną przez pomieszczenie. Upadłam na stół, roztrzaskując go na duże odłamki. Smagnięcie odebrało mi dech, gdy przetoczyłam się po pokrytej gruzem podłodze. Stworzenie znalazło się nade mną w ciągu kilku sekund. Jego szczeka otworzyła się ze skrzypieniem, błyskając ostrymi zębami, a tył gardła zaczął świecić demonicznym, czarnym ogniem.

Wcisnęłam przedramię pod jego skórzastą brodę – śmiercionośne zęby błyszczały w świetle mojej magii. Stękałam i kopałam, by utrzymać go na dystans. Sięgnęłam ślepo do mojej zaklętej torby na biodrze, żeby pogrzebać w książkach i papierach, aż w końcu wyczułam ciepłą rękojeść miecza mojego ojca. Wyszarpnęłam go, a ostrze zmaterializowało się po rozpoznaniu jego prawdziwego spadkobiercy. Lśniące złotem, długie i zabójcze.

Podniosłam je, a potem wbiłam w gardło stwora. Jego ciało skwierczało i topiło się wokół stalowej, ciemnej plamy, gryzącej i zgniłej, która spływała po mojej dłoni.

Demon wycofał się, wymiotując czarnym dymem i kleistą, ciemną krwią. Wył głośno, a jego skrzydła biły dziko, kiedy unosił się niezdarnie, wysoko w ciemność kamiennego sklepienia, pazury zaś łapały szczątki zardzewiałego żyrandola powyżej. Przysiadł tam, a siarkowy smród jego krwi spowodował, że żółć paliła mi gardło. Potrząsnął łbem, otworzył szczękę jeszcze szerzej niż wcześniej, odsłaniając miejsce, w którym go okaleczyłam, a ciemna krew zaczęła kapać. Nagle rozległ się ogłuszający wrzask, a po nim nastąpił trzask i skręcanie kończyn – jego łeb zaczął pękać na dwie części.

Chaos dualizmu – przyszyły mi do głowy słowa *Podstępnej Teorii*, ostrzeżenia zagubionego w czasie.

Odwrociłam się, by zobaczyć, gdzie spadło przekłete kompendium, i zauważyłam je pod zniszczonym stolikiem. Z trudem się podniosłam, drżąc na całym ciele, i rzuciłam się do przodu. Zatrzymałam się gwałtownie nad książką, ignorując palący ból, jaki rozprzestrzenił się po mojej skórze, gdy tylko znalazłam się w pobliżu tego przekłatego okrywającego ją metalu.

Strony pożółkły z wiekiem, a symbole były odwrócone i poskręcane. To starożytne księgi, pełne mrocznego zamyśłu, przeznaczone tylko dla najbardziej mrocznych stworzeń, które mogły się nimi żywić. *Podstępnej Bestii*.

Niemożliwa do zabicia musiała zostać uwięziona.

Demon ryknął. Złowieszcze odgłosy nie ustawały, gdy żyrandol jęczał pod jego ciężarem. Odrzuciłam miecz ojca, pozwalając, aby potężniejszy dar, który mi przekazał, płynął w moich żyłach i zmaterializował się w moich rękach.

Płynne płomienie indygo, szafiru i lawendy wiły się między moimi palcami, kiedy starożytne słowa odbijały się echem w mojej głowie. Tym właśnie była magia – burzliwym tańcem między wiedzą a wyobraźnią. Pieśnią w mojej krwi czekającą na rozkazy.

Nie ma nic silniejszego od twojej woli – słowa mojego ojca szeptały w mojej pamięci.

Nie, moja wola nie była silna.

Pozwoliłam chaosowi się uwolnić, kierując ogień ku sklepieniu z krzykiem wysiłku, podgrzewając żyrandol od spodu. Rozżarzył się on do czerwoności, a stworzenie zawył, próbując się cofnąć, lecz natychmiast zostało uwięzione w ciekłym metalu, przyklejającym się do jego ciała.

Ogień Kysillian. Czysty i nieskażony czarną magią.

Demon znów próbował się odsunąć, skrzydła trzepotały, ale im mocniej walczył, tym mocniej metal wżerał się w jego ciało.

Dwie głowy wyły, ponieważ czarny dym szczelnie je owiał, gdy stwór próbował się przemienić. Chciał się skurczyć, aby uciec.

Moje ramiona drżały od ciężaru zaklęcia, aż kolejny podmuch powietrza wywołany przez demona zmusił mnie do odwrócenia się i prawie zgasił moje płomienie.

Sufit wydał z siebie dźwięk przypominający jęk, tynk zaczął spadać, nim pękł łańcuch żyrandola i runął w splątany, płonącym bezładzie. Zakryłam głowę, kiedy ostre odłamki uderzyły mnie w plecy i ramiona, zwinęłam się w kulkę, dysząc, a pył i wióry znalazły się na moim języku.

Dopiero gdy drżenie osłabionej podłogi ustało, spojrzałam w górę, mrużąc oczy przez kurz, aby zobaczyć stworzenie miotające się w nowej, metalowej klatce, skonstruowanej z pozostałości żyrandola, wciąż świecącej na czerwono. Bestia – teraz nie większa od małego ptaka – próbowała unikać wciąż rozżarzonych prętów.

Strzępy kartek opadały, pył wirował w powietrzu, a małe iskiarki przesuwaly się w ciemności jak świetliki.

Opadłam z sił – oparłam się o kolana, dysząc ciężko, i przetarłam pot z czoła. Magia ognia w mojej krwi była prawie nie do zniesienia, wciąż się gotowała, czekając na kolejne polecenie. Ból mięśni nie przyniósł ulgi, gdy magia powoli wracała do kości, ale mimo to wyciągnęłam płonące dłonie, pozwalając, by pot spływał mi po skroniach i plecach. Wciągając pełen kurzu i rozkładu haust powietrza, w milczeniu rozkazałam magii, by uciszyła płomienie wokół mnie. Wcisnęłam je w nicość, a swąd zwęglonego drewna i zapomnianych rzeczy stanowił moją jedyną nagrodę.

Wtedy odległe echo dzwonów ostrzegawczych Instytutu prze-rwało ciszę.

Cholera. Rozpętany przeze mnie chaos aktywował zabezpieczenia.

Wiedziałam, co będzie dalej. Moje serce zamarło na myśl o karze, jaką wymierzy mi Rada. Oparłam swoje piekące dłonie o wilgotną, drewnianą podłogę. Zgarbiona, z drżącymi z wysiłku ramionami, patrzyłam przez zasłonę moich splecionych włosów, jak dwugłowy demon syczał i wrzeszczał, wciąż walcząc o uwolnienie oraz rozpaczliwie gryząc jeszcze niezastygłe pręty. Być może popełniłam błąd. Powinnam była pozwolić mrocznemu potworowi mnie wykończyć. Byłby to spokojniejszy los niż ten, który miał mnie spotkać z rąk Rady.

Albo gorzej... z rąk Almy.